

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Wznowienie kroków nieprzyjacielskich.

Coś się popsło w państwie duńskim! Po dłuższej przerwie, jakby zawieszeniu broni w zatargu polsko-litewskim, nagle jak na komendę oba pisma wileńskie, — „Słowo” i „Kurjer Wileński” pozostające w bliskim kontakcie ze sferami kierowniczymi w Warszawie przypuściły wyjątkowo gwałtowny atak na rząd p. Voldemarasa głównie w dwóch punktach: za gnębienie szkolnictwa polskiego oraz za projektowaną zmianę konstytucji. Jednocześnie i półurzędowa prasa kowieńska, która w ostatnich czasach jakoś mało poświęcała uwagi drażliwej kwestji wyzwolenia Wilna, raptownie zaostrzyła swój ton, wznowiając kampanję antypolską o charakterze agitacyjnym.

Wygląda to tak, jakby obie strony rozczarowały się co do możliwości dojścia do porozumienia i na nowo rozpoczęły ostrzeliwanie nieprzyjacielskich pozycji, nie wierząc zresztą w skuteczność kanonady.

Kwestja szkolnictwa jest istotnie poważna i zarzutów w tej dziedzinie nie można zbywać frazesem i wykrętem. Zestawienie stanu szkolnictwa polskiego w republice litewskiej oraz szkolnictwa litewskiego w państwie polskim, w oświetleniu polskiej prasy wileńskiej daje wyniki tak rażące, że trudno im dać wiarę. Nie rozporządzamy niestety materiałem źródłowym i nie mamy możliwości sprawdzenia, o ile zgodna jest z rzeczywistością wiadomość, że w Litwie Kowieńskiej nie funkcjonuje ani jedna szkoła powszechna polska i że z 84 nauczycieli polskich ani jeden nie złożył egzaminu kwalifikacyjnego, wskutek złej woli egzaminatorów. Jeżeli jest tak istotnie, to zupełnie jest zrozumiałe oburzenie prasy polskiej i trzeba w takim razie przyznać, że szkolnictwo litewskie w Wileńszczyźnie znajduje się w o wiele pomyslniejszych warunkach.

Jedno jest pewnem, że rząd litewski zajmuje w kwestji szkolnej stanowisko ciasno-nacjonalistyczne,

identyfikując język i narodowość. Ustawa o szkołach powszechnych bowiem wyraźnie zastrzega, że do szkół, w których nauka odbywa się w języku nielitewskim mogą być przyjmowane dzieci tylko tej narodowości, w której języku jest prowadzone nauczanie. Rząd litewski więc tem samem uznaje, że Litwini nie mogą się posługiwać innym językiem prócz litewskiego i że Litwin, używający języka polskiego jest nie do pomyslenia. Jak pogodzić z tem stanowiskiem stałe twierdzenie tegoż rządu, że ludność Wileńszczyzny składa się z Litwinów nawet w tych okolicach, gdzie nie mówi po litewsku?

Jeżeli cechą narodowości ma być język, to najgorzej na tem wyjdzie naród litewski, gdyż będzie musiał zrezygnować ze znacznego odłamu rodaków, dla których mowa litewska stała się dziś już zupełnie niezrozumiałą, chociaż niewątpliwie płynie w nich najczystsza krew litewska.

Klasyfikacja narodowościowa według języka w krajach o złożonej strukturze etnicznej i historycznej nie wytrzymuje krytyki i może doprowadzić do zabawnych nieporozumień. Z tego założenia wychodząc należałoby uznać, że prof. Sauerwein, Niemiec, który doskonale mówił i pisał po litewsku, miał większe prawo zaliczać się do narodowości litewskiej, niż np. taki Narbut — który języka litewskiego nie posiadał, a jednak był szczerym patriotą litewskim.

Nacjonalistom jednakże chodzi zawsze więcej o formę, niż o treść, o język bardziej, niż o ducha narodowego. Gdyby rząd litewski miał poglądy szersze, to nie stawiałby żadnych przeszkód nauczaniu w języku polskim, lecz zwróciłby tylko uwagę na kierunek, w jakim to nauczanie się odbywa. Przecież nawet szowinista litewski nie powinien mieć nic przeciwko temu, by młodzież mogła czytać swobodnie w oryginale Grażynę, Konrada Wallenroda, Margiera,

Witoloraudę, Pojętę, Dzieje narodu litewskiego i tyle, tyle innych utworów literackich, historycznych i etnograficznych, budzących miłość do Litwy i jej przeszłości. Inna rzecz, czy to samo „Słowo” lub „Kurjer Wileński” nie wystąpiłyby wówczas z oskarżeniem o zastawanie duszy dzieci polskich fałszami historycznymi, ale nad tego rodzaju zarzutami będzie mógł rząd litewski z czystym sumieniem przejść do porządku dziennego, mając zupełne prawo moralne do troszczenia się o to, by wszyscy mieszkańcy ziemi litewskiej czuli się przede wszystkim obywatelami Litwy.

„Słowu” zresztą można będzie zamknąć usta przytoczeniem bardzo charakterystycznego ustępu z artykułu redakcyjnego w № 3 „Vytis”, pisma w języku litewskim, wydawanego w Wilnie przez koła, stojące bardzo blisko organu p. Cata. Czytamy tam następujące wyznanie wiary: „Tak jak w Kowieńszczyźnie niema mniejszości polskiej, tak samo i w Wileńszczyźnie niema mniejszości litewskiej. I tu i tam jest tylko większość litewska. Większość synów naszej ojczyzny w Kownie mówi po litewsku, w Wilnie zaś po polsku. To zaś nie zmienia faktu, że i jedni i drudzy są Litwinami..” Czegóż więcej można żądać? Więc tylko chodzi o poszanowanie różnic językowych? Doprawdy czyż nie jest tylko cały ten zart wileńsko-kowieński jakimś tragicznym nieporozumieniem?

* * *

O ile oburzenie prasy wileńskiej w kwestji ucisku szkolnictwa polskiego jest zupełnie naturalne i czyni wrażenie szczerości, o tyle histeryczne rozdzieranie szat i wygrażanie pięściami z powodu pro-

jektowanych zmian w konstytucji litewskiej ma wszystkie pozory sztucznie zainscenizowanego alarmu.

Przedewszystkiem wiadomość o tych zmianach była podana przez te same pisma już parę tygodni temu i rzecz dziwna — nie wywołała dotąd żadnych komentarzy ani uwag ze strony redakcyj. Nie dopatrzone się w nich ani wówczas ani później niczego groźnego i niepokojącego. Aż dopiero w pierwszych dniach października i „Słowo” i „Kurjer Wileński” spostrzegły jednocześnie, że prof. Voldemaras szykuje ni mniej, ni więcej, tylko aneksję Wileńszczyzny... Uderzono więc zgodnie na alarm. Mocno to podejrzanie wygląda.

Ale o cóż właściwie chodzi? Oto do art. 4-go obowiązującej dziś konstytucji w republice litewskiej — jak podaje „Kurjer Wileński” — ma być dodany ustęp taki: „*Stolicą Litwy jest Wilno*. Gdzieindziej może ona być przeniesiona, jedynie czasowo, na mocy odpowiedniej ustawy”. Według opinii prasy wileńskiej ma to być wyzwanie rzucone Polsce, Lidze Narodów, Europie, ma to być prowokacja, groźba dla pokoju i bezpieczeństwa świata. Wolne żarty!

Nie bardzo co prawda rozumiemy, w jakim celu zostaje wprowadzony do konstytucji litewskiej ten ustęp geograficzno-historyczny, gdyż wystarczy zajrzeć do pierwszej lepszej encyklopedji, aby się przekonać, że stolicą Litwy jest Wilno. Tego faktu nie potrzeba potwierdzać za pomocą plebiscytu, jak również nie mogą go zmienić żadne uchwały ani traktaty, chyba tylko wielkie kataklizmy dziejowe. Nawet gdyby obecne granice pomiędzy państwem polskim a litewskim pozostały po wsze czasy nietknięte, Wilno nie przestanie — może w ciągu wieków jeszcze — być stolicą Litwy, wprawdzie nie całej wówczas, ale przy-

Mikołaj Akelaitis-Akielewicz.

(W czterdziestą rocznicę zgonu).

Dobrze uczynił p. R. Mackiewicz przypominając na szpaltach „Viln. Aidas” rocznicę zgonu „Chłopa z p-tu Marjampolskiego”, którego życie i działalność zasługują na szersze i głębsze upamiętnienie, niż to zostało uczynione dotychczas.

P. Mackiewicz uskarża się słusznie na ubóstwo źródeł biograficznych o Akielewicz, stwierdzając, że znane mu są tylko następujące: M. Brensztejna — Dwa listy Mikołaja Akielewicza (Kwartalnik Litewski. 1911 T. V), wspomnienie pośmiertne W. Korotyńskiego w „Tyg. Ilustrowanym” (1887. № 253) oraz relacja dr. Szliupasa w „Lietuviskieje Rasztai ir Rasztininkai” (Tylża. 1890). Do źródeł wymienionych dołączyć należy jeszcze: Krótki nekrolog w „Bibliotece Warszawskiej” (1887 T. IV, str. 319), listy Akielewicza do Kirkora, ogłoszone w czwartym tomie „Tauta ir Žodis”, oraz artykuł K. Bartoszewicza w „Kurjerze Warszawskim” (1912 № 9, 10) p. t. „Prowincjonalista litewski” (I).

Wszystko to razem wzięte jednak rzuca dość skąpe światło na postać wybitnego działacza i pisarza polsko-litewskiego i nie pozwala skreślić dokładnej jego charakterystyki. Należy przypuszczać, że

w dziale rękopiśmiennym Biblioteki Polskiej w Paryżu dałoby się odnaleźć nie jeden cenny szczegół, zwłaszcza dotyczący działalności Akielewicza na emigracji, podobno również Biblioteka Jagiellońska posiada jakieś jego autografy, wreszcie należałoby odszukać archiwum T-wa litewskiego „Želmuo” czy „Želme” w Paryżu, którego Akielewicz był założycielem i prezesem.

Na podstawie zaś znanych dotychczas materiałów można odtworzyć zaledwie w ogólnych zarysach zasługi, położone przez tego patriotę litewskiego względem odrodzenia piśmiennictwa ojczyźnego oraz budzenia ducha narodowego w masach ludowych a nawet w środowisku szlachecko-ziemiańskim.

Mikołaj Akelaitis, następnie Akielewicz*) zgodnie z panującą dawniej modą spolszczania nazwisk litewskich, urodził się w r. 1830 w pow. Marjampolskim i, jak wspomina w liście do biskupa Wołoncewskiego, od lat 15-u pracował na roli, następnie uczęszczał do szkoły powiatowej w Marjampolu, a w końcu studiował filologję według jednej wersji w Warszawie, według innej zaś w Moskwie. W każdym razie około r. 1850 zamieszkał w Warszawie, gdzie nawiązał stosunki z redakcjami i literatami tamtejszymi, pisując w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych”, „Gazecie Warszawskiej”, „Gazecie Codziennej” i innych pismach

najmniej tej jej części, która została przyłączona do Polski.

Rzym, pozostając pod władzą papieża, uważany był przez wszystkich za stolicę Italii, chociaż król i rząd włoski rezydowali w Turynie. Litwa jest pojęciem geograficzno historycznym, a nie tworem politycznym, jak obecna republika litewska, tak samo Polska była pojęciem stałym i szerszym, niż przemijające jej formy państwowe w XIX wieku: W. Ks. Warszawskie, Królestwo Kongresowe, Rzeczpospolita Krakowska. I zawsze Warszawa była stolicą Polski, nawet wtedy, gdy w wykazach oficjalnych figurowała tylko jako ośrodek administracyjny Kraju Nadwiślańskiego.

Śmieszne więc i bezpodstawne są szumne protesty prasy wileńskiej przeciwko rzekomo agresywnym w tym względzie zamiarom rządu litewskiego. Gdyby jednakże istotnie prof. Voldemaras nie miał racji i planował jakieś nowe posunięcie zaczepne, to co na to pomogą wszystkie pogrożki i wymysły publicystów wileńskich? Jak może na nie zareagować rząd polski? Zerwać stosunki dyplomatyczne? Ale one i tak jeszcze nie są nawiązane. Wypowiedzieć wojnę? Ale właśnie Polska świeżo w Genewie wystąpiła z wnioskiem, że wszelka wojna jest niedopuszczalna. Zaskarżyć do Ligi Narodów? Ależ rząd litewski tego właśnie pragnie, by kwestja wileńska znów stała się zagadnieniem międzynarodowym. Cóż jeszcze pozostaje? Na to pytanie ani „Słowo“ ani „Kurjer Wileński“ nie potrafią napewno odpowiedzieć. Umieją tylko krzyczeć.

Krzyki ich rozlegają się od kilku lat a sprawa ani o krok się nie posunęła naprzód. Jakiś czas ucichła, zdawało się, że nastąpiło opamiętanie, że świta w głowach jakaś myśl o możliwości znalezienia wyj-

ścia. Widocznie nadzieje zawiodły. *Inde irae*. Ale gniew jest złym doradcą. Zamiast się pienieć i podniecać bez celu opinię publiczną, lepiej poinformować ją na czym polega doznane niepowodzenie. Być może to, co się nie udało dyplomatom, potrafiłyby przeprowadzić inne czynniki, bardziej powołane do roli medjatorów?

* * *

Już po złożeniu powyższych naszych wywodów ukazała się w „Słowie“ odpowiedź na zawarte w nich pytanie, jaki cel ma cały ten hałas, wszczęty na czyjeś skinienie przez prasę wileńską. Celem tem są — represje! Wbrew zastrzeżeniom p. mrs. w „Kurjerze Wileńskim“ przeciwko stosowaniu polityki odwetowej, p. Cat w „Słowie“ wita z żywym zadowoleniem wiadomością o przedsięwziętych aresztach wśród działaczy litewskich w Wileńszczyźnie, upatrując w tych represjach środek „do wyjaśnienia tej nieznośnej sytuacji, którą wytworzył rząd kowieński przez swoje prowokacje, swoją agresywność, swój obłęd”.

Naiwne rozumowanie! Już za czasów Litwy Środkowej p. Al. Meysztowicz zastosował ten środek, wyrzucając za kordon 33-ch działaczy litewskich i białoruskich i sytuacja nie tylko się nie wyjaśniła, ale przeciwnie jeszcze bardziej się zabagniała. Represje względem Litwinów w Wilnie wywołują niewątpliwie wzmoczenie ucisku Polaków w Kownie — oto będzie jedyny rezultat tego mądrego pomysłu.

Nie pomogą i więcej protestacyjne. Wszystko to już było. Rozpalić na nowo namietności w tłumach — jest rzeczą łatwą, ale jaka z tego korzyść?

Atmosfera znów stanie się ciężką i duszną — i tyle tylko. Cofamy się, zamiast iść naprzód.

pod pseudonimem, który nabrał wkrótce rozgłosu, „Chłopa z p-tu Marjampolskiego“. Jednocześnie z zapalem oddawał się w dalszym ciągu studjom lingwistycznym, pracując przedewszystkiem nad poznaniem języka litewskiego, nad którego zaniedbaniem i upośledzeniem głęboko bolał. Z tego okresu pochodzą właśnie jego dwa listy do biskupa Wołonczewskiego, ogłoszone przez p. M. Brensztejnę, z każdego wiersza których tryska gorąca miłość ojczyzny. W tym czasie Akielewicz wystosował do jednego z członków Komisji Archeologicznej Wileńskiej obszerny list, w wymownych słowach wzywający Komisję i wogóle społeczeństwo polskie na Litwie do zajęcia się językiem litewskim i szerzenia wśród ludu litewskiego oświaty w jego ojczystej mowie. List ten został ogłoszony w „Tece Wileńskiej“ przez M. Balińskiego z przychylnym komentarzem, i nie przebrzmiał bez echa, jak o tem można sądzić z artykułu p. K. A. K. o znaczeniu języka litewskiego, w „Piśmie zbiorowym wileńskim“ na rok 1850.

W liście tym pisze Akielewicz między innymi: „Liczy się nas Litwinów, mówiących językiem rodo-

witym, około 2½ milionów, to jest więcej niż Greków osiadłych w Helladzie, a prawie tyle co Duńczyków i Portugalczyków, którzy posiadają własną literaturę. Czyż my Litwini wyrzeczemy się swojego słowa? a zatem popełnimy dobrowolnie samobójstwo narodo- we, za które ciężki zdamy rachunek w dzień sądu? — Łużyczanie, ten mały krak, zaledwie 140 tysięcy dusz liczący, budzi się z uśpienia; za przewodnictwem świątłych i gorliwych patryjotów z zapalem krząta się około pomnożenia skarbów swojej ojcowizny. Czyliż przestało w nas bić serce litewskie, co tak namiętnie kocha swojskość? Czy już zupełnie zapomnieliśmy języka, kiedy wzywamy cudzoziemca do ułożenia słownika polsko-litewskiego i *vice-versa*. Hańba nam!..”.

W dalszym ciągu Akielewicz wyrzuca Komisji Archeologicznej, że myśli tylko o przeszłości, nie dba zaś zupełnie o teraźniejszość i przyszłość, o interesy ludu litewskiego, o jego rozwój narodowy. „Trzeba nam podnieść język litewski, wydobyć z poniewierki ten język, który posiada olbrzymiość Sanskrytu, potęgę Łaciny, nadobność Greckiego i śpiewność Włoskiego. Jakże się wziąć do tego? Działajmy z wolna, zaprowadźmy szkoły parafjalne, w których nauki będą wykładane w języku Litewskim; piszmy i drukujmy książki litewskie dla ludu“...

W r. 1858 Akielewicz przenosi się do Wilna, do

*) P. R. Mackiewicz zaznacza z przekąsem, że w pracy M. Brensztejnę figuruje wszędzie nie Akielewicz, lecz Akielewicz. Pretensja nie słuszna, bo tak właśnie się podpisywał sam właściciel nazwiska, który widocznie nie przywiązywał do tej zmiany większego znaczenia.

* * *

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że w nocy z 4 na 5 b. m. dokonano licznych aresztów w Wilnie i na prowincji wśród litewskich działaczy oświatowych. Aresztowano i osadzono w więzieniu na Łukiszkach około 20 osób, w tem większość księży, między innymi ks. prof. P. Kraujalisa, prezesa T-wa „Rytas“, ks. Czybirasa, dyrektora litewskiego seminarjum nauczycielskiego, ks. Taszuna, ks. Rasztutisa, ks. Bieławskiego, ks. Bobina, ks. Krysztopanisa i innych.

Aresztowano między innymi sędziwego i powszechnie szanowanego p. Kajruksztisa, b. dyrektora litewskiego seminarjum nauczycielskiego, ale po kilku godzinach wypuszczono go na wolność. Zaznaczyć należy, że niemal wszyscy aresztowani posiadają obywatelstwo polskie.

Zapowiedziane przez p. Cata represje nie ograniczyły się do aresztów przedstawicieli społeczeństwa litewskiego. Wymierzono cios o wiele dotkliwszy, bo zniszczono za jednym zamachem całe prawie szkolnictwo powszechne litewskie. Cofnięto koncesje przeszło 40 szkołom, utrzymanym przez T-wo „Rytas“ w Wilnie i zamknięto litewskie seminarjum nauczycielskie.

Co dalej?

Nowy występ ks. Borodzicza.

Było do przewidzenia, że ks. Borodzicz po niefortunnych swych występach w Leonpolu nie da za wygraną i będzie zabiegał wszelkimi sposobami o urobienie sobie opinii ofiary i męczennika za sprawę narodową. Zdolności reklamarskie zaś posiada istotnie niepospolite.

czego, zdaje się, przyczyniła zawarta świeżo znajomość listowna z Kirkorem oraz perspektywa współpracownictwa w „Kurjerze Wileńskim“. Należał Akielewicz istotnie do owego licznego grona redakcyjnego, które zbierało się co sobotę w mieszkaniu Kirkora i w którym rejdowali Syrokomla, Odyniec, Chodźko, Mikołaj Malinowski, prałat Mamert Herbut, Eustachy Tyszkiewicz i inni. Gdy w tem gronie powstała myśl uczczenia przyjazdu cesarza Aleksandra II do Wilna przez wydanie specjalnej księgi pamiątkowej w językach polskim i rosyjskim, a Odyniec napisał do niej głośny swój wiersz na powitanie cara, uznano za stosowne ułożyć hymny powitalne również w języku litewskim i białoruskim.

Zadania te przypadły w udziale M. Akielewiczowi i W. Korotyńskiemu. Pierwszy wystąpił beżmiennie. Utwór Akielewicza nosi tytuł „Jo Milestoj Szwiesiausiam Ciesioruij Alexandruj II...“ i jest podpisany: „Wardienis isz Lietuwos wardan sawo broliu“ (Chłop*) z Litwy w imieniu swych braci). Korotyński zatytułował swój utwór bardziej szumnie: „Najjaśniejszamu Jaho Miłaści Haspadaru Imperatoru Aleksandru Mikałajewiczu, pieśnia z pakłonom ad Litowsko-Rusinskai mużyckai hramady“. Oba te wiersze, wraz z przekładami na język rosyjski nie weszły je-

Urodzony w środowisku litewskim gdzieś pod Poniewieżem, ks. Józef Borodzicz, jako niewątpliwie *gente Lituanus*, rozpoczął swą działalność „literacką“ od broszury o kulcie Serca Jezusowego, napisanej i wydanej w języku litewskim. Narazie jego praca pisarska na tem utknęła. Obudziła się w nim znana żyłka pisarska dopiero na kilka lat przed wojną wszechświatową. Z tego okresu datują się właśnie dwie jego książki: „Pod wozem i na wozie“ i „Na Rusi Galicyjskiej schyzma się gotuje!“.

Znający bliżej ks. Borodzicza dziwili się bez miary, jak ten człowiek mógł zostać literatem. Raczej wszystkiego innego niż tego mogli się po nim spodziewać. Niedługo jednak trwał ten stan zdumienia, bo wkrótce tajemnicą poliszynela stało się, że współautorem tych książek był jezuita Aleksander (hrabia) Mohl. Ten niewątpliwie zdolny człowiek, u schyłku swego życia stał się fanatycznym wszechpolakiem. Ta osobliwa spółka arystokraty w habitie jezuitskim z demagogiem a la mnich Heljodor, na podobieństwo znanej spółki autorskiej *Flers et Caillavet* w Paryżu, spłodziła naprzód książkę „Na wozie i pod wozem“, gdzie zakrawające na legendy przygody ks. Borodzicza pod rządem carskim umiejętnie przekładane były wspomnieniami, dotyczącymi hrabiowskiego rodu Mohlów na Inflantach—a w kilka lat później broszurę rewolwerową „Na Rusi Galicyjskiej schyzma się gotuje!“; gdzie ks. Borodzicz występuje w całym dłań obcej głębokiego znawcy wyznaniowych stosunków i sporu polsko-ukraińskiego w Galicji Wschodniej. Rozumie się, ks. Borodzicz dał tylko swe nazwisko, za którym w bezpiecznym ukryciu mógł ks. Mohl „używać“, ile chciał, na unitach i Ukraińcach.

Ostatnia broszura została wydana, jako manuskrypt, i była dedykowana *pro memoria* uczestnikom III zjazdu unjonistycznego w Welehradzie. O tym tendencyjnym elaboracie surową ocenę zamieścił w *Apostolat sv. Cyrilla a Methoda* (r. 1911) znany katolicki publicysta czeski G. C. Krzykawa.

dnak do księgi pamiątkowej a zostały wydrukowane w osobnym dodatku, który dziś stanowi rzadkość bibliograficzną.

Jakie były poglądy społeczno-polityczne Akielewicza? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Epizod powyższy, będący jaskrawą manifestacją uczuć lojalnych nie ma żadnego znaczenia, ponieważ wówczas całe Wilno było ogarnięte niepojętym entuzjazmem dla osoby Aleksandra II. Późniejszy udział Akielewicza w powstaniu świadczy wyraźnie, że ulegał on panującym w społeczeństwie polskim prądom i w kwestiach politycznych nie zajmował stanowiska odrębnego. Przyjacieli jego Wincenty Korotyński we wspomnieniu pośmiertnym podkreśla z naciskiem, że Akielewicz nie należał nigdy do separatystów litewskich, których, według jego słów, nie brak było w Wilnie o okresie przedpowstaniowym. Jak liczni byli owi separatyści, kto do nich należał i jaki program wyznawali—niestety nie posiadamy o tem żadnych wiadomości. Zdaje się, że Korotyński w swej relacji przesadził, a może znacznie późniejsza, głośna akcja Szliupasa oraz działalność „Auszry“ zatarły w jego pamięci dawniejsze stosunki i wypadki. Ruch narodowy litewski bowiem przed r. 1863 był niezmiernie słaby i nie sięgał poza obręb dziedziny kulturalnej.

W zapatrywaniach zaś swych na prawa języka litewskiego Akielewicz bynajmniej nie był skromny

*) Dosłownie: biedak z gminu.

Zapewniwszy w ten sposób rozgłos w świecie katolickim swemu nazwisku ks. Borodzicz ze skromnego proboszcza prowincjonalnego przedzierzgnął się w działacza politycznego na emigracji podczas wojny, nie zapominając jednakże o interesach materialnych, rezultatem czego był szereg skandalicznych spraw i procesów o przywłaszczenie willi w San Remo, o przemykanie brylantów i t. p. W związku z tem posypały się publikacje, w których ks. Borodzicz oczywiście starał się, chociaż bez powodzenia, oczyścić swą niemożliwie już zaszarganą reputację.

Pozostaje tajemnicą, jakie powody, wobec kompromitującej przeszłości ks. Borodzicza, skłoniły Kurję Metropolitalną w Wilnie do powierzenia mu odpowiedzialnego stanowiska misjonarza w okolicach naddziwniskich. Jak się ze swego zadania tam wywiązał i jakie były skutki jego pobytu nad Dźwiną — wiemy o tem wszyscy. Pod naciskiem władz administracyjnych Kurja musiała go odwołać z Leonpola i ks. Borodzicz osiadł na razie w Wilnie, gdzie już zdążył ogłosić odbity na maszynie w 200 egzemplarzach memoriał p. t. „Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie“.

Po nieodzownym wstępie, zawierającym oczywiście szczegóły autobiograficzne, przyczem historia z willą w San Remo została bardzo mętnie skreślona, autor memoriału składa znów swoje wyznanie wiary, znane już z poprzedniego memoriału oraz szeroko się rozpisuje nad wypadkami w Leonpolu, które w jego oświeceniu, rzecz prosta, nabierają zgoła innego charakteru, niż w sprawozdaniach prasowych i raportach urzędowych. Z relacji ks. Borodzicza wynika, że uległ on niezasłużonym prześladowaniom jedynie wskutek intryg i napaści popów prawosławnych, mniejszości narodowych i prasy katolickiej („Kurjer Wileński“ i „Słowo“) oraz niewytłumaczonej doń niechęci policji i administracji...

Cały ten niezadarny pamflet, mający na celu niesmaczną autoklamę niefortunnego apostoła, nie zasługiwałby na uwagę, gdyby nie ta okoliczność, że

i lękliwy. Przeciwnie, jak widać z listów jego do biskupa Wołoncewskiego oraz owego apelu do Komisji Archeologicznej, jest on bardzo wysokiego mniemania o mowie swych ojców, i poczucie odrębności narodowej było w nim mocne i wyraźnie skryształizowane.

Przeniósłszy się do Wilna rozpoczął Akielewicz ożywioną działalność oświatowo-wydawniczą, na którą środki, być może, zapewniła ofiarność społeczna, pobudzona jego wymownym listem, opublikowanym w „Tece Wil.“. W r. 1860 ukazało się kilka książeczek popularnych jego piora: „Kwestorius po Lietuwa wažinedams žmonis be mokinasis“ (Wolna przeświadczenie utworu J. Chodźki „Pan Jan ze Świsłoczy“), „Lietuwiszkas Elementorius“, „Tewe musu małda Wieszpatis Iszgarytojaus“ i inne. Jednocześnie tłumaczył z litewskiego na polski poemat Donalejtisa „Cztery pory roku“ i pisywał jako „Agricola“ korespondencje do „Gazety Polskiej“ w Warszawie, w których malował wybornie typy i stosunki miejscowe w Litwie.

Działalności literackiej Akielewicza położyło kres powstanie styczniowe, w którym wziął czynny udział. P. Brensztejn podaje, że Akielewicz przełożył na język litewski hymn „Boże coś Polskę“ p. t. „Diewe kurs Lenku“ oraz wydał kilka odezów w języku litewskim do ludu, podpisanych „Cziuderiszkiu Miłkołojus“.

mimo wszystko, ks. Borodzicz przez czynniki miarodajne jest traktowany na serjo i z podziwu godną pobłażliwością. Świadczy o tem fakt, (chybaż nie wymyślony przez ks. Borodzicza?) nadesłania telegramów gratulacyjnych przez Pana Prezydenta Rzplitej, marszałka Piłsudskiego, ministrów Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych, ks. kardynała Hlonda i t. d.

Nie jest memoriał pozbawiony również pierwiastku humorystycznego. Ks. Borodzicz przytacza wiersz wygłoszony podczas wizytacji ks. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego w Leonpolu przez jedną z miejscowych pańienek. Wiersz ten brzmi:

Mamuś, tatuś, śliczny lud —
Mówią, że to drugi cud:
Arcypasterz na Syberji nam
Błogosławi tam i siam.
Tobież w darze wielka cześć!
I kościołów pięknych sześć!
Nie złamali nas Moskale,
Choć męczyli jak szakale...
Knuty, różgi, Sybir srogi —
Nasza iskra ponad wrogił
Książd Borodzicz miesiąc trzeci
Do roboty zaprzągił dzieci.
Z martwych wstajem i poznajem,
Że tu Polska — przy niej stajem!
Choć i wrogi idą rzędy,
By zakłócać pracę wszędy.
Święty Ojczy, żniwo wielkie,
Boć zbawienie pragnie wszelkie,
Daj nam więcej tu pasterzy,
Každy błaga o to szczerze!
I wy Goście, czci dostojni,
Bądźcie sercem dla nas hojni,
My z ciemności do jasności
Pragniemy z Wami, Wasze Moście!

Przedrukujemy ten stek nonsensów, bo dobrze jest uśmieć się czasem w tych ciężkich czasach, ale ks. Borodzicz utrzymuje, że wiersz „ogromnie się podobał Arcypasterzowi“... Czyżby i ta insynuacja uszła mu bezkarnie?

Vigilans.

Zmuszony emigrować zagranicę, czas pewien ukrywał się w rozmaitych zakątkach Żmudzi, zanim przedostał się do Prus Wschodnich. Oskarżony tam o zamach stanu został skazany przez sąd w Królewcu na dwa lata ciężkiego więzienia, ale zdołał umknąć i oparł się aż w Paryżu, gdzie zamieszkał na stałe i gdzie zmarł w d. 27 września 1887 r.

Z Paryża pisywał korespondencje do pism warszawskich oraz „Ruszy“ a jednocześnie oddawał się nadal gorliwie swym badaniom lingwistycznym, polemizując zwłaszcza z niemieckimi językoznawcami. Teorie jego nie posiadają dziś większej wartości naukowej, ale w swoim czasie wywoływały ożywioną dyskusję i budziły zainteresowanie dla języka litewskiego. Wielkiego rozgłosu nabrała zwłaszcza jego broszura p. t. „Rzut oka na starożytność narodu litewskiego“, którą pod pseudonimem „Vytautas“ ogłosił w Petersburgu w r. 1885.

Niezadługo przed śmiercią Akielewicz utworzył w Paryżu towarzystwo litewskie „Želmuo“ (Latoroś!), w którym piastował godność prezesa.

Wdzięczne zadanie miałyby badacz, któryby się podjął opracowania szczegółowej monografii o tym zapomnianym dziś apostołe odrodzenia narodu litewskiego i zasłużonym działaczu krajowym.

Karol Waga.

Marny triumf.

Od pierwszej chwili wznowienia po wojnie wydawnictwa „Przeglądu Wileńskiego”, do liczby najczynniejszych jego współpracowników należał ks. Władysław Tołoczko, który z całym oddaniem się i bezinteresownością śpieszył zawsze naszemu piśmie z pomocą słowem i piórem, znajdując jednocześnie ze strony redakcji szeroko otwarte łamy dla tych spraw i zagadnień, które go specjalnie, jako kapłana katolickiego interesowały.

Zgodna ta współpraca oddawna już była solą w oku kliki endeckiej, uważającej Kościół katolicki, za domenę swych wpływów wyłącznych. Niejednokrotnie też rozlegały się na szpaltach jej czołowego organu pogroźki pod adresem ks. Tołoczki, mającego cywilną odwagę przeciwstawienia się popularnemu hasłu: polskość a katolicyzm — to jedno.

Wszystkie jednakże usiłowania zakneblowania ust śmiałemu bojownikowi o czystość zasad katolickich były bezskuteczne dopóki rządy w diecezji Wileńskiej dzierżył w swym ręku biskup Matulewicz, za którego pozwoleniem i zachętą współpracował ks. Tołoczko.

Inny duch powiał wszakże w Kurji Metropolitalnej za rządów arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Endecja dopięła swego. Ks. Tołoczko otrzymał świeżo od władz archidiecezjalnych kategoryczny zakaz pisywania do „Przeglądu Wileńskiego”, jako pisma rzekomo antykatolickiego i masonskiego (II).

Oczywiście ks. Tołoczko, jako wzorowy kapłan katolicki, uznający bez zastrzeżeń potrzebę dyscypliny kościelnej podporządkował się z całą lojalnością rozkazowi swej władzy duchownej, usuwając się całkowicie od współpracownictwa w naszym piśmie. Pismo nasze poniesie przez to stratę niewątpliwą. Nie sądzimy jednakże, aby na tem wygrały interesy Kościoła katolickiego.

Będąc pozbawieni kompetentnych rad i wskazówek ks. Tołoczki i pozostawieni własnym siłom, z łatwością możemy teraz popełnić nie jeden błąd i uczynić nie jeden krok fałszywy, zabierając głos w sprawach kościelnych. Powstrzymać się zaś od ich omawiania jednakże nie jesteśmy w stanie, gdyż w naszych stosunkach Kościół stanowi niestety wybitny czynnik polityczny i ściśle jest związany z całym kompleksem palących kwestyj narodowościowych.

Zajmowaliśmy wprawdzie stanowisko krytyczne wobec niektórych zarządzeń Kurji Metropolitalnej, jednakże nigdy nie posuwaliśmy się nawet w przybliżeniu tak daleko, jak to czynił w stosunku do biskupa Matulewicza „Dziennik Wileński”, którego prawomyślność katolicka nie została, mimo to zakwestjonowana przez surową i wymagającą władzę archidiecezjalną. Jak widać, wpływ endecji na politykę kościelną u nas stał się dziś rozstrzygający!

Z mego notatnika.

Spóźniony żal.

Za rządów ś. p. biskupa Matulewicza w Wilnie, całe społeczeństwo polskie bez wyjątku (prócz kilku jednostek) odnosiło się doń niechętnie, a nawet wrogo, manifestując na każdym kroku swą niechęć w sposób niepraktykowany dotąd w środowisku katolickim.

Prym tu oczywiście trzymała endecja, która w swej kampanji przeciw wysokiemu dostojnikowi kościelnemu nie przebierała w środkach, nie cofając się przed pokątnymi insynuacjami i oszczerstwami oraz brutalnymi napaściami w prasie. Presja, jaką wywierała w tym względzie endecja na całe społeczeństwo była tak silna, że ulegały jej posłusznie nawet te sfery, które w szeregu innych spraw i zagadnień zajmowały stanowisko samodzielne i krytyczne. Uchwała zjazdu ziemiańskiego, któremu przewodniczył obecny minister sprawiedliwości p. Al. Meysztowicz, skierowana przeciwko biskupowi Matulewiczowi była objawem wysoce symptomatycznym, świadczącym, że również w szeregach konserwatystów agitacja nacjonalistyczna potrafiła podważyć zasady katolickie i tradycyjne poszanowanie autorytetu kościelnego.

Nawet obóz postępowy, indyferentny w rzeczach religijnych uważał za możliwe solidaryzować się wobec biskupa Matulewicza ze zniechęconą endecją, a jeżeli ci i owi nie podzielali uprzedzeń i zarzutów ogółu, ze względów oportunistycznych milczeli i nie mieli na tyle odwagi cywilnej, by przeciwstawić się powszechnemu prądowi.

Jedynie „Przegląd Wileński” stale i bez żadnych zastrzeżeń występował w obronie atakowanego zewsząd biskupa, piętnując dobitnie perfidję i złą wolę obozu endeckiego, usiłując otworzyć oczy zaślepionemu i rozagitowanemu społeczeństwu.

Dziś dopiero, gdy już nie stało biskupa-męczennika, gdy zabrakło celu do pocisków, gdy zresztą uległy się namiętności, ogół polski zaczyna patrzeć trzeźwiej, widzieć swe błędy i rozumieć, jaką stratę poniósł, przyczyniając się swem postępowaniem do rezygnacji biskupa Matulewicza.

Ten sam „Kurjer Wileński”, który za życia ś. p. biskupa Matulewicza nigdy nie podniósł głosu w jego obronie, dziś drukuje obszerną apologję zmarłego, opierając się na jego korespondencji, ogłoszonej częściowo przez ks. Sobczyka w kilku ostatnich zeszytach miesięcznika warszawskiego „Pro Christo”.

Z listów tych wyłania się w całej okazałości postać niepospłitego kapłana, prawdziwego chrześcijanina i człowieka o szerokim umyśle, kierującego się zawsze bezstronnością, dalekiego od intryg politycznych.

Trudno wprost zrozumieć, co było powodem tego wrogiego nastroju, który ogarnął wszystkie sfery społeczeństwa polskiego. Wszakże liczne cnoty i zalety biskupa Matulewicza, które obecnie podkreśla „Kurjer Wileński”, — były widoczne i za jego życia dla każdego chociaż trochę krytycznego umysłu. Pozostaje więc przypuścić, iż jedyną przyczyną niechęci było pochodzenie litewskie biskupa Matulewicza, co zresztą przyznaje poniekąd i „Kurjer Wileński”.

Smutnie to świadczy o poziomie moralnym i umysłowym społeczeństwa wileńskiego.

Niepoprawni.

Na początku tego roku na szpaltach „Przeglądu Wileńskiego” obszernie była omawiana kwestja mniejszości rosyjskiej w naszym kraju. Wyrziliśmy wówczas pogląd, wbrew twierdzeniom szowinistów białoruskich i polskich, że mniejszość taka niewątpliwie istnieje, niezależnie od przypadkowej i czasowej emigracji, że składa się ona z rozmaitych żywiołów ze znaczną jednakże przewagą inteligencji miejskiej i że stanowiąc element miejscowy, w wielu razach osiadły przed stu laty przeszło, ma wszelkie prawo do obywatelstwa krajowego i związanych z tem prerogatyw.

Zastrzeżyliśmy się jednakże wówczas wyraźnie przeciwko tendencjom wszechrosyjskim, które się tak jaskrawo uwydatniły na zjeździe Lwowskim. Z zadowolaniem też zanotowaliśmy fakt, że właśnie z Wilna, z łona miejscowej organizacji Rosyjskiego Zjednoczenia Narodowego rozległy się głosy, protestujące przeciwko ujawnionym na zjeździe dążnościom do utożsamiania Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami.

Widocznie nie było to wszakże wystąpienie szczerre, skoro oto obecnie w tem samem Wilnie na szpaltach „Utra” zabiera głos p. Lelawskij i w artykule programowym p. t. „Czego chcemy”, powtarza znów z uporem, że Białorusini należą do jednej rodziny z Rosjanami, tak jak Szkoci z Anglikami, a Gaskończycy z Francuzami.

Sięgając zaś do przeszłości p. Lelawskij utrzymuje, że do XVII-go wieku w W. Ks. Litewskiem panowała kultura rosyjska i że pierwszą książką, wydrukowaną w Wilnie był rosyjski „Apostół” Skoriny. Właściwie p. Lelawskij używa wszędzie terminu „ruskij”, ale jak wiadomo w języku Puszkina i Dostojewskiego termin „ruskij” oznacza to samo co w języku polskim „Rosjanin”, zresztą wszystkie wywody p. Lelawskiego zmierzają ku temu, by udowodnić ścisły związek genetyczny obecnej mniejszości rosyjskiej w państwie polskiem z dawną ludnością prawosławną, zamieszkałą w granicach W. Ks. Litewskiego, Wołynia, Podola i Ukrainy. Słowem to samo stanowisko, które zajmowali niegdyś sławetni działacze z pod znaku łowajskiego i Batuszkowa i które jest zwalczane nie tylko przez Polaków, lecz przez bezpośrednio zainteresowanych Białorusinów i Ukraińców.

Pocóż więc te puste deklamacje, które nikogo nie przekonają i w nikim nie znajdą sympatycznego oddźwięku? Gdyby p. Lelawskij oświadczył prosto, że w ciągu przeszło stuletniej przynależności naszego kraju do państwa rosyjskiego powstał tu krajowy element rosyjski wskutek napływu z głębi Rosji urzędników, duchowieństwa, kupców, ziemian i t. p., którzy się tu zdążyli zaaklimatyzować i wrosnąć w grunt miejscowy oraz że pod wpływem po części przymusowym, po częścią zaś naturalnym kultury rosyjskiej pewna część ludności białoruskiej doszczętnie się wy narodowiła i bezpowrotnie zrusyfikowała — byłby w zgodzie z prawdą historyczną i niktby nie mógł kwestjonować słuszności jego postulatów w sprawie zapewnienia mniejszości rosyjskiej możności swobodnego rozwoju kulturalnego. Natomiast ta argumentacja, którą się posługuje p. Lelawskij, może obudzić tylko podejrliwość i nieufność.

Licz.

Przegląd prasy żydowskiej.

Pisaliśmy w swoim czasie o kilku kolejnych zjazdach przedstawicieli gmin żydowskich naszego kraju, na których jednogłośnie lub prawie jednogłośnie zapadały uchwały, domagające się przekształcenia gmin żydowskich w naszym kraju z instytucji religijnych na instytucje świeckie. Na zjazdach tych podkreślano również specyficzne warunki życiowe i kulturalne naszego kraju, ze względu na które w naszym kraju gminy żydowskie winny mieć charakter instytucji świeckich nawet w tym wypadku, gdyby w rdzennej Polsce gminy te miały mieć nadal charakter instytucji religijnych. Działo się to rok temu i przeszło rok temu. Potem cała ta sprawa uciła zupełnie.

W międzyczasie odnośne rozporządzenie p. Ministra Wyznań Religijnych i Ośw. Publ. rozciągnęło moc obowiązującą t. zw. Dekretu Naczelnika Państwa o gminach żydowskich z r. 1919 i na nasz kraj. Na zasadzie tego dekretu gminy żydowskie są instytucjami religijnymi. Jak więc widzimy żądania społeczeństwa żydowskiego naszego kraju w tej dziedzinie żadnego wpływu nie wywarły. Wspomniane rozporządzenie, pomijając jego niezgodność z życzeniami miejscowego społeczeństwa żydowskiego, ma to dodatnie znaczenie, że w dotychczasowym stanie prawnym, a właściwie bezprawnym, wypełniło poważną lukę. Rozchodzi się mianowicie o to, że istniejące „gminy żydowskie” w naszym kraju istniały tylko siłą faktu, nie mając oparcia w odpowiednim prawie, wspomniane zaś rozporządzenie daje im podstawę prawną.

Jednak i te „siłą faktu” istniejące gminy, faktycznie nie istnieją, gdyż są one mocno zdekompletowane a ponadto nie mają one charakteru publiczno-prawnego i nie mają odnośnej egzekutywy, pozwalającej na zbieranie funduszków, w drodze opodatkowania gminy, dla rozwinięcia swej działalności nawet w wąskich ramach opieki społecznej, działalności filantropijnej i spraw ściśle religijnych.

Zaznaczyć też należy, że w czasach wojennych większe gminy żydowskie naszego kraju a szczególnie wileńska gmina żydowska ogromnie rozwinęły swoją działalność jako instytucje świeckie a nawet jako reprezentacje polityczne miejscowego społeczeństwa żydowskiego. Stało się to tylko w drodze faktycznej bez formalnej podstawy prawnej. W drodze faktycznej też w miarę oddalania się od czasów wojennych gminom tym odbierano ich kompetencje świeckie a szczególnie polityczne. W związku z tem również rozwijał się proces dekompletowania się gmin żydowskich, gdyż jednostki o poglądach postępowych uznały, że gminy religijne nie są odpowiedniemi polem dla ich działalności.

Wspomniane na wstępie zjazdy i ich uchwały w sprawie sekularyzacji gmin żydowskich pozostawały również pod niewątpliwym wpływem tych kół żydowskich, które życie i organizację swego społeczeństwa chcą budować na zasadach świeckich, mianowicie kół postępowo-narodowych i socjalistycznych.

Wzmiankowane kierunki polityczne żydowskie w miarę trwania przez gminę swych kompetencji świeckich odsuwały się od niej a nawet niektórzy przedstawiciele tych kierunków zaczęli zwalczać instytucję gminy jako organizację klerykalną.

Sytuacja ta uległa ostatnio zmianie nie bacząc na to, że wspomniane już rozporządzenie Min. W. R.

i O. P. nadało gminom żydowskim charakter instytucji religijnych.

Jak stwierdza radykalno-demokratyczny „Wilner Tog“ w artykule p. t. „Jak długo jeszcze odkładane będą wybory do nowej gminy żydowskiej w Wilnie“:

„w ostatnich czasach daje się zauważyć wśród miejscowego społeczeństwa pewna zmiana poglądów w sprawie gmin żydowskich. Niechęć a nawet nienawiść do instytucji gminy, które opanowały pewne koła społeczeństwa żydowskiego w ciągu ostatnich kilku lat znikają stopniowo“.

Nie dzieje się to bez powodu. Obudziła się mianowicie nadzieja, że nawet w wąskich ramach kompetencji gminy religijnej żywiły świeckie i postępowe mogą wiele zdziałać w dziedzinie kulturalnej i społecznej. Jak czytamy w powyższym artykule dalej:

„Energiczne i poważne wystąpienie lewicowych ugrupowań na terenie warszawskiej żydowskiej gminy wyznaniowej, podziały pocieszająco na wileńskich pesymistów, którzy zaczynają z niecierpliwością wyglądać nowych wyborów do gmin żydowskich w naszym kraju“.

Cały artykuł powyższy jest wyrazem zniecierpliwienia wynikającego z ciągłego odkładania wyborów do gmin żydowskich w naszym kraju i wzywa do podjęcia ze strony społeczeństwa żydowskiego kroków zmierzających do jaknajszybszego przeprowadzenia tych wyborów.

Symptomatyczną jest okoliczność, że artykuł ukazał się na łamach „Wilner Togu“, t. j. organu zbliżonego do tych kół, które sekularyzując życie żydowskiego i gminy żydowskiej postawiły na pierwszym planie swego programu i które w całej działalności zmierzającej do przekształcenia gmin żydowskich w naszym kraju na instytucje świeckie występowały najenergiczniej.

Dla zrozumienia zmiany poglądów na tę sprawę postępowych kół żydowskich należy zwrócić uwagę na nędzę i niedostatek, w jakie w ostatnich latach popadły najszerze masy ludności żydowskiej naszego kraju. Wobec tej nędzy i niedostatku zaistniała konieczność zorganizowania stałej i celowo działającej pomocy i opieki społecznej. Olbrzymiej tej pracy mogą się podjąć tylko instytucje publiczno-prawne, jakimi na zasadzie wspomnianego dekretu i rozporządzenia będą nowe gminy żydowskie, mogące na cele swej działalności gromadzić potrzebne fundusze w drodze opodatkowania swych członków. W dotychczasowym stanie rzeczy ta pomoc i opieka społeczna nie tylko nie może być zorganizowana, lecz istniejące żydowskie instytucje opieki społecznej wskutek braku funduszy muszą do minimum ograniczać swoją działalność a nawet całkowicie ją zwniać.

Te właśnie potrzeby życiowe i nadzieja na możliwość pracy dla świeckiej kultury żydowskiej na terenie nowych gmin, a nie zasadnicze odstępstwo od swych poprzednich przekonań, zdecydowały o zmianie stosunku postępowych kół żydowskich do sprawy nowych gmin żydowskich w naszym kraju, pomimo że mają to być gminy nie świeckie, lecz religijne.

Ego.

KRONIKA.

Szczęśliwa diecezja. J. E. ks. arcybiskup Jajbrzykowski udzielił wywiadu korespondentowi „Rzeczypospolitej“, informując go, że na 150 parafii jedynie w dwóch miejscach spotkał się z życzeniem, i to wyrażonym przez poszczególne jednostki, co do głoszenia kazań w języku białoruskim. Poza-tem wszędzie ludność domagała się, aby pozostawiono wyłącznie język polski w nabożeństwach. Nigdzie ks. arcybiskup podczas swej wizytacji pasterskiej nie ujawnił nieporozumień pomiędzy wiernymi na tle narodowościowym. „Obecnie panuje zupełny spokój i zadowolenie w mej diecezji“—temi słowy zakończył arcybiskup rozmowę.

Jednakże faktem jest, że w Hoduciszkach (pow. Święciański) zapanowało wielkie wzburzenie, wskutek rozporządzenia nadesłanego z Kurji Metropolitalnej, już po wizytacji, o zredukowaniu nabożeństw dodatkowych w języku litewskim. To też istnieje obawa, że panujący dotąd spokój potrwa niedługo.

Wielki czas! Pisma donoszą, że śledztwo w sprawie „Bielaruskiej Hramady“ ma być ukończone najdalej w końcu października, tak że z początkiem listopada wszyscy podsądni otrzymają akt oskarżenia. Na ławie oskarżonych zasiądzie około 110 członków „Biel. Hramady“, w tej liczbie trzech posłów: Taraszkiewicz, Rak-Michajłowski i Mietła, którzy w swoim czasie zostali przewiezieni z Wilna do więzienia we Wronkach. Rozprawa sądowa odbędzie się w Wilnie prawdopodobnie w lutym lub marcu i rzuci niewątpliwie ciekawe światło na metody stosowane przez rząd polski względem ruchu białoruskiego.

Represje prasowe. W ciągu ostatnich paru tygodni uległ konfiskacie cały szereg pism litewskich, białoruskich i polskich, jak „Kelias“, „Sialanskaja Niwa“, „Życie Ludu“ (powtórnie), a nawet „Dziennik Wileński“. Względem tego ostatniego jednakże sąd zachował się pobłażliwie i konfiskaty nie zatwierdził...

„Nasza Praca“. Pod tym tytułem ukazał się pierwszy numer nowego pisma białoruskiego o kierunku zbliżonym do „Naszej Prawdy“, która przestała wychodzić. „Nasza Praca“ powitała życzliwie myśl, rzuconą przez p. Witolda Anucewicza w zeszyt numerze „Przeł. Wil.“ o uczczeniu pamięci Konstantego Kalinowskiego i Franciszka Skoryny przez Radę Miejską, wyrażając nadzieję, że inicjatywę w tym względzie podejmie radny Kruk.

Pogrom metodystów. Od paru lat metodyści prowadzą w Wilnie propagandę religijną, która jednakże znajduje mało zwolenników. Co niedziela przy ul. Trockiej odbywają się nabożeństwa, odprawiane przez pastora J. Wita lub jego zastępcę Stefana Bortkiewicza, na których zwykle jest obecnych kilkadziesiąt osób. W niedzielę 27 września na nabożeństwo się zebrał tłum znacznie liczniejszy, w którym przeważały kobiety. Gdy kaznodzieja rozpoczął modły, z tłumy rozległy się wrogie okrzyki, poczem grupa, złożona z kilkudziesięciu osób zaczęła niszczyć księgi i wewnętrzne urządzenie domu modlitwy. Wiszący na ścianie krzyż zerwano i połamano. Nim przybyła policja, tłum się rozbiegł. Nazajutrz został aresztowany jeden z uczestników napadu woźny magistracki Kazimierz Ławcys.

Oczywiście dzięki ten wybrk rozfanatyzowanych dewotek nie był objawem samorzutnym i musiał być zorganizowany przez jakieś czynniki ukryte, które śledztwo powinno wykryć, mimo cofnięcia skargi przez duchownego Bortkiewicza.

Doprawdy Wilno obecne pod wielu względami coraz bardziej zaczyna przypominać nie Wilno Mickiewicza i Syromkomi, a nawet nie Skargi i Wolana, lecz Wilno z czasów Naramowskiego i ks. Baki.

Przewrotność, czy zarozumiałość? Prasa warszawska, jak wiadomo, mało się interesuje naszymi stosunkami i mało im poświęca uwagi. Gdy zabiera jednakże głos, to czyni to z taką pewnością siebie, jakby zjadła wszystkie rozumy i przetrawiła gruntownie wszystkie skomplikowane kwestje, z którymi my tu na miejscu nawet nie możemy sobie poradzić.

Odpowiadając na naszą uwagę o słuszności zarządzenia władz administracyjnych względem niewypelniania rubryki narodowości w dowodach osobistych „Myśl Niepodległa“ przy tej okazji płytko dowcipkuje na temat „krajowości“ i „lutejszości“, natomiast w kwestji stosunków narodowościowych w naszym kraju zdradza zupełną ignorancję, dając do zrozumienia, że administracja miejscowa proteguje wszystkie narodowości, z wyjątkiem polskiej, której rzekomo dzieje się krzywda. I nie jest wykluczone, że redaktor „Myśli Niepodległej“ istotnie wleży święcie w to co pisze. Zarozumiałość bowiem jest najwybitniejszą cechą każdego prawdziwego warszawiaka.